

Superbohater pachnie benzyną

19 czerwca 2019

Z Szymonem Holcmanem z Wydawnictwa „Kultura Gniewu” rozmawia Adam Pluszka.

– Wciąż słyszysz, że to, czym się zajmujesz, jest niepoważne?

– Nie. I przyznam, że chyba nigdy nie słyszałem takiego zdania. Nawet rodzice się nie zmartwili, że postanowiłem zająć się komiksami. Zresztą jak by w ogóle mogli? To w końcu tata mnie w ten zgubny nałóg wciągnął. Pytanie o niepoważność fachu słyszeli natomiast nasi autorzy, rysownicy i scenarzyści, myślę, że ono jeszcze przez chwilę może tu i ówdzie się pojawiać, zanim umrze śmiercią naturalną. My, wydawcy, mamy o tyle łatwiej, że na pytanie, czym się zajmujemy, możemy odpowiedzieć „wydawaniem”, a wydawca to w końcu przedsiębiorca, biznesmen.

– I nie pokutuje już przeświadczenie, że komiks jest dla dzieci? Albo przynajmniej dla dorastających chłopców?

– To też pogląd będący na wymarcu. A jednocześnie paradoksalnie prawdziwy. Bo komiksy oczywiście są dla dzieci, sami takie z sukcesami wydajemy. Ale przez ostatnich kilkanaście lat wspólny wysiłek polskich wydawców komiksów doprowadził do sytuacji, w której ukazała się w naszym ojczystym języku większość światowej klasyki gatunku przeznaczanej dla dorosłego czytelnika. W pewnym momencie intensywność publikacji dla tego odbiorcy stała się tak duża, że można było odnieść wrażenie, że na rynku nie ma w ogóle komiksów dla dzieci – poza rzeczami disneyowskimi i polską klasyką typu „Tytus” oraz „Kajko i Kokosz”. Teraz komiks dla dzieci przeżywa prawdziwy renesans, a cały rynek fajnie się zbalansował, jeśli chodzi o komiksy dla młodszych i starszych czytelników.

– Tata pokazał ci Janusza Christę i Papcia Chmiela?

– Nie tyle pokazywał, co po prostu kupował wszystkie komiksy, które wpadły mu wtedy w łapy. Kupował, bo wiedział, że je lubię, a wpadało mu prawie wszystko, bo był czujny i wiedział, gdzie szukać. W dzieciństwie moim ulubionym momentem każdego dnia był powrót taty do domu. Od razu się na niego rzucałem, żeby sprawdzić, jakie to nowe książki, gazety i komiksy przyniósł. A jeśli wracał podczas mojej nieobecności, to od razu leciałem do komody w dużym pokoju, gdzie wykładał łupy. Nie trzeba było żadnej okazji, urodzin czy świąt, żeby coś tam się pojawiało. Potem kładłem się na podłodze w pokoju i czytałem.

– Chodź, powspominajmy, jesteście prawie z tego samego rocznika. Magazyn „Relax”?

– „Relax” jest w tej opowieści pozycją kluczową. Ściągnięty z półki u starszego kuzynostwa numer dwudziesty tego magazynu rozpoczął moją świadomą przygodę z komiksem. To było jakoś na samym początku lat osiemdziesiątych, a pamiętam tę chwilę, jakby wydarzyła się wczoraj. To w tym numerze był odcinek Thorgała „Pierścienie Frei”, który mną wstrząsnął. To tu były kolejne odcinki komiksów „Tajemniczy rejs” i „Vahanara”, narysowane odpowiednio przez Janusza Christę i Jerzego Wróblewskiego, twórców, których cały czas uwielbiam. No i to tu znalazł się jeden z najbardziej tajemniczych komiksów w całej historii „Relaxu” – „Bionik Jaga”. Przedziwna, niesamowicie narysowana historia, której autorzy do dziś pozostają nieznani. Lektura całości była doświadczeniem z gatunku przełomowych.



„Bionik Jaga” – komiks Roczka i Karmowskiego
 – „Lucky Luke” ze „Świata Młodych”?

– „Lucky Luke’a” jakoś ze „Świata Młodych” nie zapamiętałem, zacząłem go czytać dopiero, gdy pojawiły się albumy wydawane przez Egmont. Dużo ważniejszy był w „Świecie Młodych” jego polski odpowiednik, czyli Binio Bill. Na kolejne odcinki przygód stworzonego przez Jerzego Wróblewskiego kowboja czekałem bardzo niecierpliwie. Do dziś trzymam wycięte z harcerskiej gazety ostatnie strony z historią „Binio Bill kręci western i... w kosmos”. Tym większą frajdą było wydanie tego komiksu – po raz pierwszy w wersji albumowej – w Kulturze Gniewu. Mam też powycinane komiksy Tadeusza Raczkiewicza – „Na tropie Skorpiona”, „Monstrum”, „Tajemnica kamiennego lasu” – które wtedy uwielbiałem, przedziwny „Pensjonat snów” Michała Worwaga czy opowieść o eksterminacji Indian „Metacom” Jacka Widora, która wtedy zrobiła na mnie olbrzymie wrażenie. Poranny bieg do kiosku, żeby nie wykupili mi „Świata Młodych” to też mocne wspomnienie z dzieciństwa.

– Magazyn „Komiks”?

– Podejrzewam, że chodzi ci o magazyn, który był spadkobiercą „Komiksu Fantastyka”?

– Tak jest.

– Mieliśmy z tatą prenumeratę „Fantastyki” (też ważny przystanek w moim obcowaniu z komiksem), więc jej komiksowy dodatek trafił do nas niejako z automatu. Kolejne słodkie wspomnienie z dzieciństwa to sprawdzanie, czy aby w pocztowej skrzynce nie ma jakiejś interesującej przesyłki – to mogła być właśnie „Fantastyka” i „Komiks Fantastyka” albo „Mała Fantastyka”, „Kino” czy „Film”. Dzięki „KF” (na początku lat dziewięćdziesiątych przekształconemu w „Komiks”) poznałem takie genialne tytuły, jak „W poszukiwania ptaka czasu”, „Rork” czy „Wieczna wojna”. To arcydzieła gatunku. Ale nie mniej ważna od samych komiksów była publikowana w magazynie publicystyka. Teksty Maćka Parowskiego czytałem z wypiekami na twarzy, odsłaniały przede mną niesamowite bogactwo komiksowego medium. No i to właśnie w „Komiksie” pojawił się pierwszy po polsku duży materiał o „Mausie” Arta Spiegelmana. Te kilka zaprezentowanych wtedy na łamach kadrów zostało ze mną na zawsze.

– W latach osiemdziesiątych moja mama, pewnie jak większość ludzi, miała w kiosku teczkę, do której pani kioskarka – czasem za drobny dowód wdzięczności – wkładała gorzej dostępne gazety. Albo mama się nie starała, albo ktoś starał się bardziej, ale do naszej teczki nie trafił „Yans”. Na szczęście udało mi się ubłagać panią w innym kiosku.

– Tata miał teczki wszędzie, gdzie się dało. A jako że robił wtedy w gastronomii, to odwdzięczał się za ich trzymanie słodyczami, owocami albo mięsem, w zależności od tego, co akurat udało się zdobyć. Teczki w połączeniu z prenumeratami dawały nam dostęp do większości drukowanej w latach osiemdziesiątych oferty kulturalnej. A ja potem pożyczałem komiksy tym, którzy się w kioskach i księgarniach na nie nie załapali.



„Thorgal” – komiks Jeana Van Hamme’a i Grzegorza Rosińskiego
– **Thorgal z Krajowej Agencji Wydawniczej?**

– Thorgal to był instant hero od tego pierwszego zetknięcia z „Relaxem”. Każdy kolejny album to było wyczekiwane wydarzenie, święto. Pamiętam, jak chyba w jeden z wakacyjnych dni ktoś na podwórku rzucił hasło „Jest nowy Thorgal!”. Zaraz byliśmy z kumplami w autobusie do centrum, żeby przypadkiem nie wykupili. Rozbieraliśmy potem drobiazgowo fabuły, spieraliśmy się i zachwycaliśmy. Żałuję, że dziś seria nie budzi już we mnie takich emocji.

– **Kiedy cię puściło?**

– Czytałem z wielkim zainteresowaniem i przyjemnością do „Strażniczki kluczy”. Potem z tomu na tom było coraz gorzej, jeśli chodzi o scenariusze, a tom dwudziesty szósty, czyli „Królestwo pod piaskiem”, zdenerwował mnie do tego stopnia, że już nigdy do serii nie wróciłem.

– **Pamiętasz zmiany w branży komiksowej po 1989 roku?**

– Wtedy wszystko działo się dość intensywnie, a do tego zaraz na początku lat dziewięćdziesiątych zacząłem liceum, więc te zmiany w kraju jakoś tak zeszły na drugi plan w porównaniu ze zmianami w życiu osobistym. Ale wyprawę po pierwsze komiksy od

TM-Semic – „Punishera” i „Spider-Mana” – pamiętam oczywiście ze szczegółami. Żaden kiosk w okolicy ich nie miał, ale dopadłem je, o dziwo, na stacji benzynowej. Już zawsze komiks superbohaterski będzie mi się kojarzył z zapachem benzyny.

– Ile z tego zachwytu z dzieciństwa wciąż jest w tobie?

– Bardzo dużo, co w zasadzie trochę mnie dziwi, bo przecież od długiego już czasu komiksy to moja praca. To musi być jakiś rodzaj uzależnienia, ale wciąż każdy nowy komiks powoduje szybszą akcję serca. Czytam je z wielką przyjemnością, setki w ciągu roku.

– Wszystko, co się ukazuje?

– Jeszcze kilka lat temu mógłbym spokojnie powiedzieć, że czytam wszystko albo prawie wszystko, co w Polsce się ukazywało. Dzisiaj nie nadążam. W ciągu tych paru lat rynek niesamowicie się rozrósł, trzeba wybierać, co chcemy kupić, przeczytać. Uważam, że to bardzo dobrze, to oznaka normalności.

– Z wydania komiksów można się utrzymać? Tak żeby nie robić nic innego?

– Tak, da się utrzymać tylko z wydawania komiksów.

– Sam jednak zajmujesz się czymś innym, oprócz współtworzenia Kultury Gniewu.

– Od marca tego roku, po czternastu latach pracy w wydawnictwie, została już w zasadzie tylko Kultura Gniewu i rozmaite drobne okołokomiksowo-filmowo-growe fuszki.

– Co się zmieniło?

– Raz – rynek. W ciągu ostatnich kilku lat bardzo intensywnie się rozwinął, komiksy można znaleźć w kioskach, małych księgarniach i sklepach wielkopowierzchniowych. Ale co ważniejsze, wszędzie można znaleźć czytelników komiksu. Od

tych najmłodszych po tych starszych, którzy wracają po latach do kiedyś lubianego medium. To jest bardzo ważne, by na rynku był dostęp do tytułów dla różnych grup wiekowych i odpowiadających na różne czytelnicze potrzeby. Dwa – zmieniło się nasze wydawnictwo, urosło do rozmiarów, kiedy już naprawdę trudno było się nim zajmować po godzinach. To są sytuacje graniczne – albo skaczesz na głęboką wodę, albo w ogóle wychodzisz z wody, siadasz na rozłożonym na piasku ręczniku i patrzysz, jak pływają inni.

– Ile Kultura Gniewu wydaje rocznie albumów?

– Między dwadzieścia pięć a trzydzieści pięć. To całkiem sporo jak na trzyosobowe wydawnictwo, a jednocześnie ja bym chciał wydawać około czterdziestu. Taka liczba pozwalałaby trzymać rękę na pulsie współczesnego komiksu, bylibyśmy bardziej na bieżąco z ciekawymi tytułami publikowanymi na świecie.

– Czym się kierujecie przy doborze tytułów?

– Tylko i wyłącznie tym, czy komiks nam się podoba. Najczęściej to ja przynoszę propozycje tytułów, a potem o każdym rozmawiamy z moimi współnikami – Jarkiem Składankiem i Pawłem Tarasiewiczem. Czasami to są bardzo krótkie rozmowy, oni mówią: „Nie, nie podoba nam się to”, a moje serce wtedy krwawi, bo przynoszę tylko rzeczy, które chętnie bym wydał. Czasami o jednym tytule potrafimy długo dyskutować, rozważając wszystkie za i przeciw. Więc katalog jest wypadkową gustów i upodobań naszej trójki.

– Kim są twoi współpracownicy?

– Paweł nadzoruje produkcję komiksów i dystrybucję, zajmuje się w wydawnictwie wszelkimi formalnościami – fakturami, umowami. Jarek, założyciel wydawnictwa, jest z kolei najlepszym w Polsce specjalistą od przygotowywania komiksów do druku. To on je składa, projektuje. Obaj są bardzo dokładni, uważni, cierpliwi, spokojni. Ten zespół cech doskonale równoważy moje emocjonalne podejście do komiksu, impulsywność,

ekstrawertyzm czy wręcz choleryzm. Powtarzałem to już wielokrotnie, ale to właśnie mieszanka i wypadkowa naszych osobowości oraz charakterów tworzy Kulturę Gniewu. Bez któregoś z tych elementów to już nie byłoby to samo.

– Skąd się w ogóle wzięła nazwa?

– Nazwę wymyślił Jarek i jest ona pochodną nazwy małego wydawnictwa muzycznego, które dawno temu prowadził z żoną – Youth Culture. Kultura Gniewu, oksymoroniczna zbitka słów, tak naprawdę kryje w sobie swoistą filozofię. Chodzi w niej o to, żeby codzienny gniew i frustracje zamieniać na kulturę, sublimować. Nazwa do dziś budzi zdziwienie na rozmaitych targach książki, gdzie się pojawia.

– Jak wygląda ścieżka wydania komiksu? Od podpisania kontraktu.

– Wygląda dość podobnie do ścieżki, którą przechodzi książka. Mamy kontrakt, zlecamy tłumaczenie, dostajemy pliki produkcyjne (to chyba jedyna różnica między książkami i komiksami), przychodzi tłumaczenie, robimy redakcję i korektę. Finalny plik trafia do składu, podczas którego wlewa się w dymki polski tekst. Gotowe pliki – po korekcie już złożonego komiksu – trafiają do drukarni.

– Kiedy zlecasz przekład, coś mówisz tłumaczowi? Powiedzmy takiemu, z którym jeszcze nie pracowałeś.

– Od takiego, z którym nie pracowaliśmy, dobrze jest wziąć próbkę. Ale czuję pobrzmiewające w tym pytaniu przypuszczenie, że komiksy tłumaczy się jakoś inaczej niż książki. A tłumaczy się w zasadzie tak samo. Może odrobinę łatwiej, bo przecież jest warstwa graficzna, która może służyć za odpowiedź, daje kontekst.

– Długą masz kolejkę chętnych tłumaczy?

– Często zgłaszają się nowi, czasami ich testujemy, ale

najbardziej lubimy pracować ze sprawdzonymi. Wiemy wtedy, czego możemy się spodziewać.

– Jest jakiś patent, żeby grafik się potem nie pogubił przy składzie?

– Patent jest dość prosty – tłumacz musi po prostu ustawić teksty w kolejności czytania. Wtedy do większych pomyłek nie dochodzi. A jeśli nawet dojdzie, to wyłapywane są w ostatnich fazach korekty, która odbywa się na już złożonym komiksie.

– Co się dzieje, jeśli w komiksie są te wszystkie SMASH!, WHAM!, KABOOM! czy SNIFF? Tłumaczy się je i ktoś rysuje od nowa?

– Tak, i grafik, czyli najczęściej Jarek Składanek, stara się maksymalnie zbliżyć tę spolszczoną onomatopieję do wyglądu oryginału.

– A jak wygląda ścieżka wydawnicza w przypadku polskiego autora?

– Jeśli mówimy o autorze współpracującym z nami od lat – jak Śledziu, Karol Kalinowski, Marcin Podolec czy Jacek Świdziński, żeby wymienić tylko kilku – to po prostu czekamy na każdy ich nowy komiks. Jak tylko przychodzi, zaczynamy proces redakcyjno-korektorski, zgłaszamy uwagi, sugestie zmian. Najczęściej autorzy sami nanoszą wszelkie poprawki, my – w osobie Jarka Składanka – przygotowujemy na bazie otrzymanych od nich plików materiałów dla drukarni. I już.

– Zdarza się, że trzeba część rysować na nowo?

– Słowo „część” brzmi groźnie... Czasami trzeba poprawić jakieś kadry albo zmienić ich kolejność na stronie, dodać albo odjąć jakiś drobiazg, ale większość poprawek dotyczy warstwy językowej – literówek, interpunkcji i tak dalej. Zasadniczo nie są to zmiany, które wywracają całość do góry nogami.

– Dużo dostajecie propozycji wydawniczych?

– Dużo. Zdecydowana większość z nich – jakieś siedemdziesiąt pięć–osiemdziesiąt procent – to rzeczy nienadające się do wydania, zrobione w zeszycie podczas nudnej lekcji albo nogą w piasku w trakcie rodzinnych wakacji. Kolejne dziesięć procent to propozycje lepsze, ciekawsze, które jednak albo nam się nie podobają, albo nie pasują do tego, co chcemy wydawać. Ostatnie, powiedzmy, pięć procent to komiksy, które mają w sobie to coś.

– Kto u was wydał w ten sposób?

– Maciek Łazowski, Marta Ignerska i Mikołaj Łoziński, Marcin Podolec, Henryk Glaza, Igor Jarek i Judyta Sosna, a nawet Karol Kalinowski, Jacek Świdziński czy Michał Śledziński. Pamiętam ten wieczór, kiedy Śledziu podesłał pierwsze plansze z „Na szybko spisane 1980–90” z pytaniem, czy bylibyśmy zainteresowani. Byliśmy. Jeszcze inną grupą są autorzy, których śledzę w sieci albo znajduję jakieś ich komiksowe próbki i się do nich odzywam z pytaniem, czy nie chcieliby zrobić dla nas jakiegoś komiksu. Przez długi czas dręczyłem tak Tomka Grządzielę, autora między innymi „Przygód Stasia i Złej Nogi”. Krótki komiks Łukasza Ryłko zgłoszony do konkursu na festiwalu komiksowym w Łodzi zachwycił mnie do tego stopnia, że skończyło się albumem „Śmiercionośni”. Gdzieś w internecie wypatrzyłem fragment dyplomu Anny Andruchowicz, który potem wydaliśmy.

– Są jakieś stypendia dla rysowników?

– Są. Co prawda nie oznacza to, że można utrzymać się tylko z wydanych komiksów, ale rysownicy, czego bardzo im zazdroszczę, mają w rękach fach. Mogą robić ilustracje do gazet, komercyjne zlecenia i wiele innych rzeczy, których podstawą są ich rysownicze umiejętności. Słyszę często narzekania, że w Polsce rysownicy mają źle i pod górkę, ale to nie jest specyfika tylko naszego kraju. W takiej Francji, na największym w Europie rynku komiksowym, gdzie ukazuje się ponad cztery tysiące albumów rocznie, a najpopularniejszy ma ponad milion

nakładu, zaledwie pięć–dziesięć procent rysowników żyje tylko z honorariów za publikacje. Reszta komiksy robi z doskoku.

– A kto u nas nie musi dorabiać na boku?

– Takich twórców praktycznie nie ma. Oprócz komiksów rysownicy robią rozmaite zlecenia, na przykład plakaty czy okładki, ale to są prace, gdzie zamawiający oczekuje od nich stylistyki znanej z ich autorskich albumów. Czy można to więc rozdzielić?

– Zastanawia mnie kwestia, która pewnie jest wspólna dla branż książkowej i komiksowej: dlaczego wydawca jest w stanie się utrzymać z wydawania komiksów, a autor już nie?

– Ależ to jest bardzo proste. Jako wydawnictwo publikujemy te trzydzieści tytułów rocznie, autorzy jeden czy – w przypadku niezwykle płodnego Marcina Podolca – dwa. Nie trzeba tęgiej matematycznej głowy, żeby dokonać obliczeń.

– Jaki nakład można w Polsce uznać za sukces?

– Taki, który na siebie zarobi. Dla różnych wydawnictw różne nakłady są sukcesem. Duże wydawnictwo jak Egmont nie zadowolili się nakładem, który dla nas czy dla Timof Comics będzie powodem do radości. My z kolei nie bawimy się w nakłady, o których marzą na przykład autorzy wydający sami swoje pozycje.

– Podaj jakieś liczby.

– W naszym przypadku sprzedanie tysiąca sztuk komiksu – najlepiej w ciągu paru miesięcy – to taka granica, po której możemy spokojnie powiedzieć, że tytuł się przyjął.

– Które albumy wydane w Kulturze Gniewu osiągnęły status bestsellera?

– Saga o ryjówkach Tomka Samojlika, „Black Hole” Charlesa Burnsa, „Osiedle Swoboda” Michała Śledzińskiego, „Berlin” Jasona Lutesa, „Łauma” i „Kościsko” Karola Kalinowskiego, książki Shauna Tana... Mógłbym tak jeszcze wymieniać. Dla mnie

najważniejsze jest to, że blisko dziewięćdziesiąt procent wydanych przez nas tytułów przynajmniej się zwróciło. To świadczy z jednej strony o tym, że mamy dobrze skrojone budżety publikacji, a z drugiej, że czytelnicy ufają naszym wyborom i wracają po – bardzo przecież różne – wydawane przez nas komiksy.

– Dlaczego nie wydacie drugiej części „Klezmerów” Joanna Sfara? O ile wiem, fani zamęczają was tym pytaniem od dawna. Miej to już z głowy.

– Wydamy! Premiera w przyszłym roku, razem ze wznowieniem tomu pierwszego.

– Często się zdarzają sytuacje, kiedy jeden autor znajduje się u kilku wydawców? Sfara wydawało Wydawnictwo Komiksowe, Timof i cisi współpracownicy, Znakomite, Znak i Mroja Press.

– Nie za często. Akurat Sfar to autor tak płodny, że mogłoby powstać wydawnictwo zajmujące się publikacją tylko jego komiksów (pytanie, czy wszystko to jest warte wydania). Ja lubię trzymać się autorów, współpracować z nimi przez lata. Wydaje mi się, że to jest bezpieczniejsze dla obu stron. Autor wie, czego spodziewać się po nas, my wiemy, jakiej jakości komiks dostaniemy. Poza tym premiera nowego albumu autora X sprawia, że odżywa na chwilę zainteresowanie jego poprzednimi publikacjami. Dla wydawcy to bardzo pożądany mechanizm.

– Zdarza się, że wydawcy podbierają sobie autorów? Albo że jest jakaś zażarta aukcja na tytuł między kilkoma wydawcami?

– Zdarza się. Aukcje częściej niż podbieranie sobie autorów, ale podejrzewam, że dużo, dużo rzadziej niż w świecie książek.

– Jak rozkładają się siły wydawców komiksów? Możesz naszkicować mapę?

– Mogę spróbować, ale to naprawdę będzie szkic. Powiedzmy, że zamieniamy mapę na piramidę. Na samej jej górze jest Egmont,

międzynarodowy koncern wydawniczy, mający największy udział w polskim rynku komiksowym. To oni wydają takie bestsellery, jak „Thorgal”, „Kajko i Kokosz”, „Asterix”, komiksy Disneya, komiksy ze świata Gwiezdnych Wojen (czyli też Disney), no i superbohaterów zarówno z Marvela, jak i DC. Generalnie komiks masowy, w dużych nakładach, dla każdej grupy wiekowej. Do tego świetnie rozwinięta dystrybucja, nakłady na promocję. Na czubku tej naszej piramidy opiera się cała pozostała oferta, czyli jest to piramida odwrócona. Bo nie da się ukryć, że Egmont poprzez swoją wielkość i możliwości jest od lat siłą napędową komiksu w Polsce. I chwała mu za to. Reszta wydawców uzupełnia ofertę tego giganta albo buduje swój katalog w kontrze do niego. Dalej więc mamy wydawnictwa proponujące mainstreamowy, popularny komiks, którego nie wydaje Egmont. Taurus Media znane jest z ciekawych tytułów frankofońskich, które kiedyś masowo wydawał Egmont, by po jakimś czasie ograniczyć tę ofertę. Mucha, którego właścicielka działa też na rynkach duńskim i portugalskim, również sięga po superbohaterów z Marvela, a także przedstawia ciekawe komiksy z oferty niezależnego amerykańskiego wydawnictwa Image. Podobnie robi nowy gracz na rynku – Non Stop Comics – będący komiksowym imprintem Sonii Dragi. Wszystkie te wydawnictwa celują w komiks popularny, gatunkowy, porządną komiksową rozrywkę, której w swojej ofercie nie ma Egmont. Kolejny wydawniczy segment to oficyny wydające rzeczy autorskie, artystyczne. To między innymi my, Timof Comics, Wydawnictwo Komiksowe, Centrala, Ongrys – żeby wymienić kilka najważniejszych. Wydajemy tytuły, po które wydawnictwa z poziomu wyżej w ogóle nie sięgają, bo uważają, że im się to nie opłaca, bo to niszowe, dziwne albo trudno przypisywalne do jakiejś kategorii. Działalność tych autorskich wydawnictw interesuje mnie jako czytelnika najbardziej. A jeszcze niżej mamy całą masę wydawnictw publikujących nieregularnie, od jednej komiksowej imprezy do drugiej, autorów, którzy sami wydają swoje komiksy, grup bawiących się w ziny i ksero. Jest ich całkiem sporo. I ta grupa jest dla mnie dowodem i gwarancją, że komiks żyje i rozwija się. Bo są ludzie chcący

się w niego bawić, opowiadać nim swoje historie, i ich motywacją nie jest chęć jakiegoś strasznego dorobienia się, ale najczęściej bezinteresowna miłość do komiksu. Zauważ, że w ogóle nie wspomniałem wydawnictw mangowych, czyli publikujących komiks japoński. Działa ich w Polsce trochę, z sukcesami. A mangi to jedne z najpopularniejszych komiksów wśród młodzieży gimnazjalnej. Co ciekawe, te światy rzadko kiedy się przenikają.

– Dlaczego?

– To zagadnienie, nad którym wielu już łamało sobie głowy. Gdybym miał na szybko udzielić odpowiedzi, stawiałbym na to, że wydawanie mangi jest wymagające – większość tytułów to wielotomowe sagi, które trzeba regularnie dostarczać czytelnikom. Wydawca może już nie mieć mocy przerobowych na inne pozycje. Specyficzną kulturę biznesową mają też japońscy wydawcy, nie można ot tak po prostu napisać do nich maila i liczyć, że przyjmą ofertę. Wolą współpracować – co w sumie nie jest szczególnie dziwne – ze sprawdzonymi partnerami, których znają od lat. Próbowałem z mangą Egmont, ale zrezygnowałem, z kolei kojarzone do tej pory z mangą wydawnictwo Studio JG wzięło się za komiksy na licencjach Cartoon Network: „Pora na przygodę”, „Samuraj Jack” czy „Atomówki”. My i Wydawnictwo Komiksowe mamy w ofercie pojedyncze tytuły japońskich autorów. Ale to wyjątki. Cały też czas słysząc wśród fanów komiksów głosy, że „manga to nie komiks”. Nie wiem, z jakich przekonań się one biorą, bo jedyną formalną różnicą jest to, że japońskie komiksy czyta się z prawej do lewej. Sam czytam sporo mang, wśród których nietrudno znaleźć pozycje wybitne. Działa to też w drugą stronę – wkręceniu w mangę, której jest w Polsce bardzo dużo, nie znajdują już czasu na czytanie innych komiksów i tym samym w ogóle się nimi nie interesują.

– Da się powiedzieć, kim jest czytelnik komiksów? Jeśli gimnazjaliści czytają mangę, to czy – strzelam – po „Fistaszki zebrane” sięgają wykształceni faceci w średnim wieku?

– Szczerze powiedziawszy, nie zastanawiam się nad tym. Staramy się publikować jak najlepsze komiksy w jak najlepszy sposób i docierać z nimi jak najszerszej. Czy sięgnie po nie gimnazjalista, studentka czy prawnik, nie ma większego znaczenia. Dużo ważniejsze jest to, co pomyślą po lekturze. Czy zechcą sięgnąć po kolejny komiks, polecić go znajomemu? Patrząc na zamówienia w sklepie na naszej stronie czy na ludzi, którzy kupują u nas na targach i festiwalach, wydaje mi się, że wśród naszych fanów połowa to kobiety, połowa mężczyźni. Jeśli faktycznie tak jest, bo na profesjonalne badania nas nie stać, to znaczy, że robimy coś dobrze.

Z Szymonem Holcmanem rozmawiał Adam Pluszka

Źródło: Dwutygodnik.com

Licencja: [CC BY-NC-ND 3.0](https://creativecommons.org/licenses/by-nc-nd/3.0/)

Nota informacyjna

Artykuł powstał we współpracy z Instytutem Kultury Miejskiej w Gdańsku – organizatorem Gdańskich Spotkań Tłumaczy Literatury „Odnalezione w tłumaczeniu” oraz festiwalu Europejski Poeta Wolności.